

Z notatek: Grudzień

Poniżej przedstawiam notatki, które spisałem w grudniu 1981 r. Jest to całość tekstu z owych dni, drukowana bez żadnych zmian. Zapis, rzecz jasna, niekoniecznie stanowi wyraz moich dzisiejszych poglądów. Tylko w nienaruszonej formie może mieć wszakże ewentualną wartość źródłową.

Dlaczego wówczas prowadziłem notatki? Trudno powiedzieć. Nie byłem zresztą w tym jedyny. Może oddziaływało poczucie wagi przeżywanej chwili? Może notowanie stanowiło działanie pozorne, zastępcze w poczuciu ludzkiej niemocy? Może chwila wzbudziła moje zainteresowanie jako historyka? Ogólna wiedza wskazuje, że historycy nieraz w takich momentach coś sobie zapisywali.

Ponieważ tekst ma charakter, jaki ma, nie chciałem – nawet wbrew sugestiom Redakcji – dorabiania doń przypisów. Jako że jednocześnie występuje w nim kilka osób, członków mojej rodziny lub znajomych, które mogą nie być rozpoznawalne dla czytelników, zdecydowałem się przedstawić je tu w kolejności pojawiania się. „Gosia”, która występuje w zapisie pod datą 13 grudnia, to moja żona. „Szaniawski” z zapisu pod tą samą datą to prof. Klemens Szaniawski z Uniwersytetu Warszawskiego. „Grześ” z tegoż zapisu to mój syn. „Samsonowicz”, pojawiający się w notatce z 14 grudnia, to prof. Henryk Samsonowicz z UW. „Strzeleccy” z tejże notatki to znany intelektualista Jan Strzelecki oraz jego syn Jerzy. „Agnieszka” z notatki zrobionej 15 grudnia to moja córka. „Antek” z tej samej notatki to Antoni Macierewicz. „Hieronim” z notatki z 18 grudnia to prof. Hieronim Kubiak z Uniwersytetu Jagiellońskiego, wówczas członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR. „Marta”, występująca pod tą samą datą, to Marta Petrusiewicz, swego czasu żyjąca w Polsce, a wówczas we Włoszech. Zagórscy, pojawiający się pod datą 22 grudnia, to literaci Maryna i Jerzy Zagórscy.

W tekście pojawia się kolejno kilka cytatów. *Ex post* odtworzyłem, że słowa Lecha Wałęsy zaczerpnąłem z książki: Wojciech Gielżyński, Lech Stefański, *Gdańsk, sierpień 1980* (KiW, Warszawa 1981, s. 79). Słowa Henryka Samsonowicza pochodzą z wywiadu udzielonego przezeń „Życiu Literackiemu”. Zacytowałem je za „Literaturą” z 10 grudnia 1981 r. Słowa Zděnka Młynára zaczerpnąłem z jego książki *Mróz ze Wschodu* (NOWA, Warszawa 1981, s. 84). Słowa Herodota pochodzą z I księgi jego *Dziejów*. Słowa Tukiidyesa pochodzą z I księgi *Wojny peloponeskiej*.

11 grudnia 1981

W radio wiadomość, że w jakimś zakładzie pracy usuwa się organizację partyjną, a związanym z tym faktem hasłem towarzyszącą na murach „kotwice” Polski Walczącej.

Mniejsza w tej chwili o treść akcji. Zwróćmy uwagę na formę. To jest właśnie świadomość historyczna w działaniu, zinterioryzowana. Przez lata wydawało się nam, zwłaszcza zawodowym historykom, że ten naród jest wyzbyty świadomości historycznej – przy naszym częściowym udziale, choć może niezupełnie z naszej winy. We wszystkich badaniach sprawdzających wiedzę historyczną szerszych

kęgów społeczeństwa wyniki były fatalne. A potem przychodzi Sierpień i okazuje się, że historia – może w postaci nienaukowej, zbitkowej, stereotypowej, ale niewątpliwie historia – kształtuje światopogląd, jest brana pod uwagę przy ustalaniu programów i sugeruje metody działania. „Żywa historia” – tak nazwany był artykuł, na którego powstawanie z bliska kiedyś patrzałem.

11 grudnia 1981, druga notatka

Na ulicach Krakowa ulotki z napisem „Pod »Solidarność« znakiem Polska jest Polską, a Polak Polakiem”. To jest kwintesencją, kropką nad „i” w cyklu ewolucji ruchu 1980 r.

Klasyki marksizmu obserwowali, jak ekonomiczne ruchy klasy robotniczej przerastają w polityczne. Ruch 1980 r. przerósł w polityczny o zabarwieniu narodowym, był następnie narodowym i politycznym zarazem, a obecnie akcent narodowy jest coraz silniejszy. Żywe dla ruchu problemy polityczne też coraz bardziej percypowane są jako narodowe – przeciw władzy, którą się odsądza od bycia władzą swoją, własną, narodową. Jest to ułatwione przez łatwość oskarżenia o „moskiewską agenturę”.

Ciekawe, że teraz często rewolucje narodowyzwolenicze wszędzie zarzucają władcom, iż ci stoją poza narodem. Somozie zarzucano, że jest Nikaraguańczykiem tylko z miejsca urodzenia, bo nawet zdania po hiszpańsku formułuje według składni angielskiej (czytaj: amerykańskiej).

Wbrew wielu sądzę, że konflikt lat 1980 i 1981 jest nie tylko polsko-radzieckim (rosyjskim?), ale i wewnętrznym polskim konfliktem. Sądzę jednak jednocześnie, że tylko szerokie otwarcie władzy wobec społeczeństwa może – jeśli jeszcze może – ochronić tę władzę przed widzeniem jej jako obcej, stawianiem jej poza nawiasem narodu, przy jednoczesnym obwarowywaniu się społeczeństwa w szańcach wartości tradycyjnych – narodowych i religijnych i coraz gwałtowniejszym deklaratywnym – bo często nie realnym – odrzucaniu socjalizmu *en bloc*.

11 grudnia 1981, trzecia notatka

Kapuściński w swej nowej, jeszcze nie publikowanej książce o rewolucji islamskiej w Iranie podkreśla rolę, jaką odegrała tam kasetka magnetofonowa. Przemówienia Chomeiniego nagrane na taśmy zaczynające się od jakichś modnych melodii... Giełżyński i Stefański w swym reportażu z sierpniowego strajku w Stoczni mówią to samo. Podczas gdy środki masowego przekazu milczały lub kłamały, przemówienia Wałęsy i negocjacje z Jagielskim, nagrywane i przegrywane tysiącokrotnie, szły w Polskę.

Mam propozycję sloganu reklamowego dla wielkich zachodnich producentów: „Nasze kasetki pokonały szacha i komunistyczny reżim w Polsce!”.

W Polsce, co prawda, wielką rolę odegrał też kserograf – ta drukarnia nie do upilnowania. Nie radziłbym jednak ukuć podobnego sloganu w odniesieniu do kserografów. Ich odbiorcą są kręgi biznesu i establishmentu, a one nie będą zycliwie patrzeć na obalanie innego establishmentu – gdzie by on nie był. Establishmenty (aparaty) się rozumieją. Nieprzypadkowo polscy działacze państwowi zawsze lepiej dogadywali się z zagranicznymi rządami niż z ruchami kontestatorskimi, których

notorycznie nie lubili – dopóki nie doszły do władzy. Opowiadano, jak kiedyś gomulkowski działacz wysokiego szczebla przy lampce wina utyskiwał wspólnie z jakimś zachodnim partnerem na uciążliwość rządu i niewdzięczność rządzonych. On pracuje od rana do nocy (to akurat było prawdą), a oni tak tego nie doceniają...

12 grudnia 1981

Patrząc na zdjęcie w dzisiejszej prasie, można uwierzyć, że dojdzie do porozumienia narodowego. Na otwarciu nierządowego (by nie powiedzieć opozycyjnego) Kongresu Kultury w pierwszym rządzie siedzą członek Biura Politycznego Kubiak, wicepremier Rakowski oraz biskup Miziołek w charakterze przedstawiciela prymasa. Z magnetofonu odtwarza się powitalne przemówienie Miłosza. Odczytuje się także list Wałęsy, który zapowiada swój przyjazd w następnych dniach.

Piękne. Tylko cała rzecz w tym, że to Kongres Kultury, a nie kongres robotników polskich (inaczej: Zjazd „Solidarność”). Nieprzypadkowo w „Solidarność” jest tak silny oddolny ruch przeciw inteligenckim doradcom – bo oni w opinii Związku zawsze się ostatecznie dogadają, ustąpią, podczas gdy masy członkowskie Związku chcą „twardo”. Nie pamiętam już, kto z członków Komisji Krajowej groził Wałęsie (czy rzekomo groził, bo to wiadomość z telewizji), że jeśli się jeszcze raz cofnie, to mu osobiście „łeb ukręci”.

13 grudnia 1981, godz. 15.30

No i stało się. Takie same miny musieli mieć lewicowi Chilijczycy któregoś pięknego ranka w 1973 r. Niby się tego oczekiwało, niby napięcie narastało, lewica parła, lokalny obóz „rozsądku” ponawiał ostrzeżenia... A gdy przyszło co do czego, to dominującym uczuciem było zdumienie. Zdumienie faktem i stopniem przygotowania akcji. U nas jeszcze większe niż w Chile – jeśli sobie tamtejszą sytuację trafnie wyobrażam. Przejęcia władzy przez wojsko w naszym przekonaniu odbywają się w Chile, Brazylii, Afryce – ale przecież nie u nas, w kraju cywilizowanym! (sic!) Człowiek ma zawsze tendencję, by wierzyć, że „nie o nim w tej bajce mowa”. Wypadki – no tak, zdarzają się, ale przecież my jeździmy uważnie. Rabunki – no tak, czyta się o nich w gazetach. A potem okazuje się, że statystyczne prawa historii nie czynią wyłączeń w odniesieniu do poszczególnych jednostek czy grup ludzkich.

To, co zaszło, było dla nas tym bardziej zaskoczeniem, że stanowi zupełne ineditum w historii naszego systemu i obozu. Tutaj to nie tak zwykło się odbywać! Tu normą był przewrót pałacowy w łonie Biura Politycznego, w ostateczności interwencja radziecka. Gdy rano Gosia otworzyła radio i zapytała, dlaczego grają hymn, pomyślałem sobie, że weszli Rosjanie i za chwilę zostanie ogłoszone utworzenie „rządu robotniczo-chłopskiego” itd.

O ileż łatwiejsze okazało się rozwiązanie przyjęte! Uniknięto zjednoczenia narodu przeciwko najeźdźcom i podziału wojska. Z punktu widzenia Związku Radzieckiego korzystne jest uniknięcie komplikacji międzynarodowych. O coś takiego Rosjanie się pewno modlili od Sierpnia! Na ile dopomogła w tym wszystkim specyfika polska z rolą wojska w historii tego kraju na czele? Czy też nowe tendencje zachodzą w obozie?

Poetyka dokumentów wprowadzających stan wojenny jest klasyczną poetyką przejmowania władzy przez wojsko: dla ratowania ojczyzny, dla uniknięcia wojny domowej, czasowo, w imię walki z korupcją przystępują do działania czystki moralnie żołnierze... W ramach tej poetyki Jaruzelski jako dowódca armii, który faktycznie przejął władzę od kierowanego przeciw przez siebie rządu (o jego funkcji I sekretarza się już nie wspomina, podobnie jak w ogóle nie słychać o Biurze Politycznym, KC i całej partii), zapowiada, że nie będzie powrotu do metod sprzed Sierpnia, a reformy będą kontynuowane „w warunkach ładu”. Jest to więc wybór wariantu peruwiańskiego: armia, biorąca wpierw udział w zwalczaniu ludowej partyzantki, bierze władzę, przekreślając w ten sposób możliwość dojścia lewicy do głosu. Zabezpieczywszy imponderabilia establishmentu w sferze międzynarodowej i wewnętrznej, przeprowadza szereg reform, o których konieczności dla udrożnienia systemu, a więc jego przetrwania, jest przekonana. W końcu Velasco Alvarado był bodaj dowódcą operacji przeciw Guevarze.

Powyższy model działania znany jest od wieków, a opisany chociażby w *Faraonie* Prusa. Kapłani doprowadzają do upadku młodego faraona – reformatora, w którym wyczuwają wroga swej grupy, a następnie wprowadzają postulowane przez niego reformy. Arcykapłan zasiada na tronie i panuje długo ku szczęśliwości ludu swego.

W wersji wschodnioeuropejskiej model peruwiański przypominałby trochę „kadaryzację” – choć, miejmy nadzieję, w Polsce nie będzie może krwi u początków jego realizacji. Po zlikwidowaniu zagrożenia establishmentu i powiązań międzynarodowych Kadar przeprowadził – mimo zachowania imponderabiliów – szereg istotnych reform.

Warunkiem prowadzenia takiej polityki jest jednak chęć ludzi do pójścia na współpracę. Na Węgrzech to się udało chyba dlatego, że społeczeństwo zostało u początków właśnie tak potwornie uderzone; pobite, chciało przyjąć wyciągniętą dłoń. W Polsce, według stanu na dzień dzisiejszy, jest to bardzo mało prawdopodobne. „Solidarność” została, zdaje się, sprawnie rozbita bądź przynajmniej ubezwłasnowolniona. Jutro okaże się kolosem na glinianych nogach. Nawet jeśli jutro, zgodnie z niedawnymi wezwaniem, zacznie się strajk powszechny, będzie nieskoordynowany i nie potrwa długo; szczególnie wytrwałe ośrodki dobieje się siłą. Przegrany strajk okaże się klęską Związku. Jeżeli nie wybuchnie, klęska będzie tym większa. Jeżeli wybuchnie w szerszej skali i na dłużej, zostanie stłumiony siłą, okazując się co najwyżej pyrrusowym zwycięstwem. Dobrych wyjść nie ma.

Ale przecież nawet w sytuacji klęski „Solidarności” i braku oporu czynnego społeczeństwo nie wymaże z pamięci demokratycznej fali 1980 r. i silnego akordu, który ją kończy. Będzie protestować na różne sposoby, z których najprostszym, przez tyle lat wypróbowanym, jest brak współpracy z władzą nawet w najmniej istotnych sprawach, nie mówiąc o wydajności pracy. W Czechosłowacji po 13 latach Husak nie może przejść na metody Kadara. I w Polsce też znacznie prawdopodobniejsza jest „husakizacja” niż „kadaryzacja” – niezależnie od deklaracji, może nawet szczerych, Jaruzelskiego.

Ci, którzy dziś przejęli władzę, też o tym wiedzą. Jeśli aresztuje się Szaniawskiego, który, będąc jednym z symboli odnowy, był przecież klasycznym człowiekiem środka, kompromisu (nie mówiąc o posiadaniu przezeń zaufania całego

środowiska intelektualnego, opiniotwórczego) – to znaczy, że nie szuka się uspokojenia.

Szansa „budowania socjalizmu” wraz z ludźmi, która w Sierpniu w jakimś stopniu – może w małym, ale wystarczającym, by się jej uchwycić – zaistniała, została przegrana. Historycy do końca świata będą się spierać, czy z winy obozu „porządku”, czy z winy radykalnej części kierowniczego środowiska „Solidarności”, czy z „winy” oddolnego ciśnienia mas, dzięki któremu radykałowie znajdowali rację bytu.

Pozostaje „budowanie socjalizmu” dla ludzi (w lepszej wersji) bądź przeciw ludziom (w gorszej). Tylko co to będzie za socjalizm? Czy to w ogóle będzie socjalizm?

Rano na parkingu nieznanemu człowiek patrzy na mnie i poważnym głosem pyta, czy słuchałem radia; potem idzie swoją drogą. Drugi jest wyrazistszy: „Poczułi, że grunt im się usuwa z pod nóg, to zrobili zamach stanu”.

Ulice na Żoliborzu pustawe, ale w końcu jest niedziela rano; nieprzypadkowo akcję przeprowadzono w sobotnią noc.

Niebieskie transparenty „Wszystkim, którzy przyjmują Maryję, z całego serca błogosławie – Jan Paweł II”, „Rodzina Bogiem silna”. Napisy na murach „Ala ma kota – PZPR ma TV”, „Chcemy prawdy”.

Powiedziałem Grzesiowi, żeby nie powtarzał w szkole, co słyszy w domu. Synek widział przez okno dwóch żołnierzy w kaskach i z karabinami. On już może ten obraz zapamiętać.

Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa to mętny obraz jakiegoś patrolu wojskowego. Długo byłem przekonany, że pamiętam Niemców. Gdy dziś liczę daty, myślę, że to musieli być jednak Polacy lub Rosjanie.

Mój syn i ja mamy szansę mieć podobne pierwsze wspomnienie z dzieciństwa.

Znajomy, zapytany, jak się czuje podczas słuchania zarządzeń stanu wojennego, odczytywanych przez dwóch spikerów przebranych na tę okazję w mundury szeregowców, odpowiada: „jak za okupacji”.

Niedziela w Lasku Bielańskim. Słońce, dzieci na sankach. Jutro w „Trybunie Ludu” i „Żołnierzu Wolności” – jedynych gazetach, które się mają ukazywać, powinno się ukazać zdjęcie z komentarzem: „Całe rodziny, uspokojone zdecydowanym działaniem wojska, wyszły ze swymi pociechami na spacer”.

13 grudnia 1981, godz. 22.10

Nie ukaże się pierwsza seria tych notatek, zakończona 24 listopada i złożona w „Literaturze”. Oby mi się udało jutro zabrać stamtąd tekst. Będę spisywał te notatki. Mój ojciec w czasach stalinowskich pisał *Gusta*; opublikował je w 1958 r. – poświęcając „przyjaciołom, którzy znali ten tekst w latach minionych”. Piszę dla dzieci. Może kiedyś przeczytają – jak ja w jakimś momencie czytałem notatki spisywane dla mnie przez moich Rodziców podczas wojny.

14 grudnia 1981, godz. 17

„Domagamy się uwolnienia naszych kolegów. Pozostańmy solidarni” – głosi plakat na tablicy „Solidarności” w Instytucie. Tyle zostało z tego wszystkiego.

Bardzo długo nie wierzyłem, że coś z tego wyjdzie. Gdy powstał KOR, gdy rozwijała się nielegalna działalność wydawnicza, gdy powstawały inne organizacje, prorokowałem, że władza rozprawi się z nimi. Gdy wybuchły strajki, sądziłem, że władza nie wytrzyma nerwowo. Gdy podpisano porozumienie gdańskie, nie mogłem zrozumieć, jak ten system je przełknie. Na krótkie pytanie francuskiego specjalisty od historii rewolucji „czy jest pan optymistą czy pesymistą?” bez chwili wahania odpowiedziałem: „pesymistą” (wrzesień 1980).

W końcu uwierzyłem – może jako jeden z ostatnich. Uwierzyłem o pięć minut za wcześnie.

Co z tego zostanie? Dał na to odpowiedź Wałęsa podczas strajku gdańskiego. Giełżyński i Stefański zapytali go wówczas, co będzie, jeśli i tym razem przegra. Rzekł „Lechu”: „To pozostanie świadomość i organizacja. Zaczną znów, może już beze mnie. Teraz są innymi ludźmi, przez ten strajk. Nie ma powrotu do tego, co było przez ostatnie lata. Walcząc dalej, mogą tylko wygrywać”.

Zostanie więcej. Doświadczenie historyczne uczy, że władza, nawet gdy w pierwszym okresie po stłumieniu rewolucji sroży się, nie może całkowicie przejść do porządku nad podniesionymi przez rozbrojony ruch sprawami.

Jakby przewidując rozwój sytuacji, Samsonowicz mówił przed paroma dniami: „Konstytucja 3 Maja trwała rok, funkcjonowała dokładnie rok i dwa miesiące. Konstytucja 3 Maja upadła, lecz, po pierwsze, proszę sobie uświadomić, jaką olbrzymią rolę odegrała nie w ciągu tego roku, bo wtedy niewiele dało się zmienić, ale w ciągu następnego dziesięciolecia, kiedy przecież dawała wiarę i siłę, kształtowała psychikę narodu, pozwoliła przetrwać 150 lat niewoli. I to przy wszystkich nieszczęściach, jakie były związane z brakiem własnego państwa. Po drugie, Konstytucja 3 Maja, która zmieniała ustrój bardzo zły i bardzo nie na czasie, mimo że została obalona siłą, tak dalece unaoczniała pewne sprawy, że nowe konstytucje grodzieńskie musiały niektóre idee tejże konstytucji przejąć. Te konstytucje miały być zaprzeczeniem dorobku ustawy 3 Maja. Oczywiście, były jej zaprzeczeniem, ale niektóre idee w gruncie rzeczy musiały zostać przejęte. Słowem, nie ma odwrotu od pewnych zjawisk i pewnych rzeczy”.

Zostanie w końcu pokolenie '80, które swe doświadczenie przekaze własnym dzieciom.

Póki co obraz przypomina jednak raczej krajobraz po bitwie – choć bitwy przecież, jak się zdaje, nie było.

Zebranie-niezebranie w Instytucie. Oczywiście trochę głosów radykalnych (strajk okupacyjny – choćby krótki, ulotki, manifest). Większość siedzi w poczuciu rezygnacji, czy może raczej w przekonaniu, że trzeba się nastawić na długofalowe rozgrywanie sytuacji. Któryż to raz w dziejach tego narodu pojawia się podział na rewolucjonistów i zwolenników pracy organicznej?

Trochę myśli i słów o działaniach ratunkowych. Dyskretna informacja, gdzie zgłaszać fakty aresztowań.

Szaniawski podobno jest czy ma być zwolniony. Aresztowani są podobno dwaj Strzeleccy, ojciec i syn. Obydwo „zdjęto” w drodze powrotnej z Gdańska. Nie życzę ani memu synowi, ani sobie aresztowania. Nie jestem kandydatem na bohatera (no cóż, ludzie są różni...). Gdyby jednak miało to kiedyś nastąpić, chciałbym, by przymknęto nas razem, jak Janka i Jurka, działających w imię tej samej sprawy. Niedawno Janek zaczął rozmowę ze mną, przedstawicielem młod-

szego pokolenia, od usprawiedliwienia – wobec mnie zresztą zupełnie zbędnego – swej postawy: „no niech już będzie, ja wiem, że jestem oportunistą...”. Teraz w każdym razie własny syn nie może zarzucić mu oportunisty.

Mówi się, że Huta stoi. Patrząc jednak na miasto i na sprawność przeprowadzonej akcji, przestaję się dziwić, czemu swego czasu dziwił się cały świat, jakim cudem tak łatwo obalono Goularta w Brazylii, a potem Allendego w Chile.

Na ulicach spokój. Ludzie myślą, co myślą, ale raczej milczą. Może da się wyczuć nawet odcień ulgi, że już ten dramatyczny moment przeszedł? Rozprężenie po napięciu? W każdym razie strachu czy sterroryzowania, które by były zresztą całkowicie zrozumiałe po wczorajszych dekrétach, na pewno się nie wyczuwa. W autobusie dwóch uzbrojonych żołnierzy przepycha się do wyjścia; wyraźnie są na służbie, podjechali przystanek. Nie ma wobec nich odruchów wrogości.

Na dobrym miejscu wyraźny, świeży napis „Solidarność łże”. Nikt go nie zamazuje. Na przygotowanej do postawienia leżącej latarni, która przypomina trochę lufę czołgu, napis: „Na Moskwę!”. Też nikt go nie zamazuje. Pijany facet wyżył się od ostatnich w imieniu „narodu polskiego”.

Na placu Na Rozdrożu czołg. Ustawiony starannie, w sposób przemyślany, by nie tamować ruchu; klapy otwarte, bo piękne słońce. Wygląda absurdalnie (Grześ po moim powrocie do domu: „Tatuś, zawieszysz mnie obejrzeć czołgi?!”).

Na Żoliborzu zdejmują się dekoracje związane z przybyciem obrazu Matki Boskiej do tutejszych kościołów. Pewno Obraz pojechał dalej, a dekoracje wiecznie wisieć nie mogą. Ich zdejmowanie kojarzy się jednak z kapitulacją; miło było patrzeć na nie jako na symbol czegoś, co jeszcze pozostaje niezależne.

14 grudnia 1981, godz. 22.00

Od strony Huty dobiegają strzępy głosów z megafonów. Jak gdyby: „Uwaga, uwaga, pracownicy Huty Warszawa, proszę o rozejście się domów...”. Wspaniałe? Czy raczej straszne? Przecież będzie masakra.

15 grudnia 1981, wieczór

Mała, pisana na maszynie, wyraźnie inteligencka ulotka, wzywająca do strajku powszechnego. To już resztki. Wielkie zakłady w Warszawie są spacyfikowane. Wygląda, że nie było oporu. Podobno armatek wodnych użyto w Hucie Warszawa – ale też nic więcej. Jeśli Słowik daje się wziąć w Łodzi, gdzie był przewodniczącym regionu, w trakcie przemawiania do ludzi na Piotrkowskiej, to znaczy, że na nic już nie liczy.

Nic nie zadziało. Gdy ZOMO zajmowało Zarząd Regionu na Mokotowskiej, zleciały się wyrostki z okolicy, nie załogi robotnicze. Nie weszły do akcji żadne ukryte struktury przygotowywane przez „Solidarność”. Zarządy nie zdążyły się ukryć na terenie fabryk, co przecież parę miesięcy temu zrobiono podczas sprawy bydgoskiej. Zdaje się, że tylko kilku członków Komisji Krajowej dotarło do Stoczni, gdzie może trwa strajk. To już jednak nie ma żadnego znaczenia.

Sprawność akcji wojska dużo mówi o stopniu jej przemyślenia i przygotowania. A władza takimi krokodylimi łzami wypłakiwała swoją niewinność, gdy „Solidarność” głosiła, że szykuje się atak na nią, gdy Związek ogłaszał „stan zagrożenia”!

Może przebieg wszystkiego oduczy nas przynajmniej wywyższania się nad Czechów. Ileż to ja razy słyszałem: „W Polsce nie pójdzie tak łatwo!”

Bardzo wiele osób patrzy na Glempa. Czy tak samo patrzano na prymasa w 1948 r.? Prymas jest jedynym, który może w tej chwili mówić niezależnie do narodu. Zaleca spokój. Niektórzy mają mu to za złe.

W Instytucie znów zebranie-niezebranie. Patrzenie z niepokojem, gdy otwierają się drzwi. Pomysły jakichś działań, projekt założenia żałoby (wzorem Czechosłowacji 1968). Wszystko razem to akcje schyłkowe, wygasające resztki wielkiej fali. Trochę sprawia to wrażenie miotania się zwierząt w potrzasku. Czas jest, zdaje się, nie na manifestacje, lecz na chowanie się (gdzie? na jak długo?).

W trakcie zebrania-niezebrania wiadomość: „Wygarnęli Pałac Staszica!”. Chwila bezładnych głosów, jakieś zwariowane głosowanie, czy zakładać tę żałobę, czy nie... Prowadzący – przez swe tradycje rodzinne i pracę badawczą akurat bardzo głęboko tkwiący w realiach konspiracyjnego życia okupacyjnego – woła: „Rozwiązują zebranie”... i wszyscy „dają nogę”.

Aresztowania idą, zdaje się, bardzo szeroko. Gdy ktoś się nie pojawia na umówioną godzinę, od razu jest domniemanie, że go wzięli. Jadę z kolegą, by sprawdzić jeden taki wypadek. Przed wejściem do domu osoby, którą mam sprawdzić, daję koledze instrukcje: „Odbierzesz Agnieszkę z przedszkola...” Pierwszy raz „uważaj”, którym Ojciec żegna mnie przed wyjściem z domu, nie brzmi absurdalnie. Nauczył się tak żegnać wychodzących podczas okupacji – i rytualnie powtarzał przez ileś lat.

Przeciwważeniem aresztowań ma być przymknięcie politycznych trupów – Gierka i innych. Czy oni się uczyli, jak to robić, z jakiegoś podręcznika? Gdy Mendieta, z poparciem Stanów Zjednoczonych, rozgromił rewolucję 1933 r. na Kubie, też postawił przed sądem znenawidzonego ministra spraw wewnętrznych przez tę rewolucję obalonego. Grupa zwycięsko tłumiąca rewolucję poświęciła człowieka swoich sfer, by zachować pozory kontynuacji dzieła rewolucyjnego. Po raz pierwszy tak wyraźnie czuję, że moja wiedza o Ameryce Łacińskiej jakoś koresponduje z rzeczywistością, którą przeżywam.

Ważną informacją o aresztowaniach płynie przez Kościół; to jedyna struktura działająca. Pojawiają się wieści o represjach innych niż „internowania”. Zamknięto i opieczetowano redakcje tygodników. (Kilka moich ładnych rzeczy się nie ukaże, szkoda). Czy dziennikarze dostaną nakazy pracy do łopaty, na co stan wojenny pewno pozwala? Dziś rozmawiałem z jednym z nich, który właśnie opieczetował szafy redakcyjne i oddał klucze przybyłemu pułkownikowi. Był w nastroju jak po pogrzebie. Pociesza się, że to był zamach centrowy, zrobiony, by wyprzedzić skrajnie dogmatyczną grupę w partii. Pociesza się, że jeśli nie będzie oporu, a więc potrzeby krwawej łaźni, to Jaruzelski będzie kadyzował.

Mówi się, że instytuty PAN-owskie zostaną rozwiązane. A ja głupi mam wszystkie oszczędności na koncie, bo uwierzyłem, że to wszystko się utrzyma, a poza tym nieładnie przecież powiększać panikę, nieprawdaż?! Pierwszy raz czuję się jak ten przysłowiowy ciułacz, który ma szansę stracić wszystko, co uciulał.

Wygląda, że idziemy wzorem nie kadarowskim, lecz czeskim. Szczęśliwie nie chilijskim – wbrew jednej z niedawnych ulotek „Solidarności”, która przez antycypację przyrównywała Stadion Śląski do stadionu w Santiago de Chile.

Panuje specyficzna atmosfera między ludźmi. Jakby milczącego porozumienia, większej grzeczności, serdeczności. Jak długo się to utrzyma? Sytuacja wprowadzi zróżnicowania, postawy będą ewoluować. Wystarczy spojrzeć na pokolenie 1956. Jakże się ono rozstrzeliło!

Pierwszy raz przy wyjściu z Instytutu mówię jakiejś dziewczynie „pa” zamiast „cześć” czy „na razie”. Wieczorem sąsiadka przynosi w prezencie karpia. Rzecz to niebagatelna mieć w takich czasach karpia w wannie i na wigilijnym stole.

Nawracam myślą do mojego *Sierpnia*, w który włożyłem tyle pracy, a który się oczywiście już nie ukáže. Napisałem tam rzecz, o której wiedziałem, że będzie niepopularna, a mianowicie zdanie, iż nie jest tak, jakoby jedyną podporą Biura Politycznego były obce bagnety. Twierdziłem, iż sierpniowy konflikt był sporem o wyjątkowo nieostro zarysowanych grupach uczestniczących. Zauważałem, że gierkowskie państwo z jednej strony cieszyło się – do czasu oczywiście – poparciem stosunkowo szerokim, znacznie szerszym niż samego aparatu, a z drugiej że wszystkie popierające grupy, łącznie z członkami partii, okazały się być jego bardzo słabą podporą, gdy przyszło co do czego. Nie odmawiałem w ten sposób czi ni wiary prawie nikomu. Antek nie był tym wszystkim chyba zachwycony. A jak rzeczywistość zweryfikowała moje stanowisko?

Oczywiście 13 grudnia potwierdził, jeśli trzeba było na to dowodów, że ostatecznym gwarantem systemu był Związek Radziecki – i to niezależnie od orzełków żołnierzy i tego, czy Kulikow był, czy nie był w Warszawie (o jego obecności niesie wieść gminna). Jednocześnie jednak zwraca uwagę, że generałowie nie uznali za możliwe stowarzyszenie się z jakimkolwiek sektorem cywilnym, nawet z partią. Mówi się, że Barcikowski dowiedział się o przejęciu władzy, gdy go ściągnięto rano z łóżka. Partia nie istnieje w tym, co przeżywamy. Jak nieważna to dziś instytucja, niech świadczy fakt, że brodaty kolega wyjechał dziś małym fiatem pod samą kolumnadę KC i dopiero tam jakiś samotny milicjant przyleciał z wrzaskiem, czego on tu właściwie szuka.

Przypuszczam, że partia zostanie rozwiązana („zreorganizowana”), zmieni nazwę, przeprowadzi weryfikację członków bądź nowy nabór. Typuję Olszowskiego na I sekretarza w perspektywie – choć pewno nie od razu. To wszystko potwierdza jednak moją tezę o nieostrości grup uczestniczących w konflikcie sierpniowym.

Co było jednak, to było. Dziś granice są ostre. Z jednej strony naród, z drugiej generalska targowica. Konflikt, który w Sierpniu wybuchł jako społeczny, prawie natychmiast nabrał aspektów politycznych, a stopniowo, w coraz większym stopniu nabierał kolorytu narodowego, dziś zakończył cykl ewolucyjny. Jest wyłącznie narodowym. Odezwa wisząca na wciąż istniejącej tablicy „Solidarności” w Instytucie (przynaję, byłem przeciw jej uchwaleniu...) głosi: „Chociaż władzy udało się wprowadzić wojsko na ulice, to nie uda się jej złamać woli Narodu Polskiego do samostanowienia o jego dniu dzisiejszym i jego przyszłym losie”. Na rozklejanych na ulicach eleganckich ulotkach „Ruchu obrony socjalistycznej Ojczyzny” pojawia się pospiesznie bazgrane: „Parobki”. Nie trzeba dodawać czyje.

Studenci historii znów zaczną interesować się XIX wiekiem. Historia w tym kraju się nie posuwa. Stereotyp antyrosyjski wejdzie już chyba w geny, stwarzając w ten sposób ciągle brakujący dowód na rzecz jedynie prawdziwych i słusznych,

choć przez rewizjonistów w swoim czasie niegodnie zakwestionowanych, tez Łysenki.

Z czasem ostrość podziałów może zmaleje. Zaopatrzenie się poprawi, sprawność działania państwa wzrośnie również na odcinkach, gdzie jest ono w końcu potrzebne obywatelowi. System może przejść do fazy kadaryzowania. Wzrośnie nowe pokolenie. Będzie ono pewno żyć normalnie. Ale nawet przy najlepszym rozwoju sytuacji i ono przejmie od nas, a potem przekaże własnym dzieciom, gorycz 1981 r. – jak myśmy przejęli od naszych rodziców gorycz dawniejszych rozczarowań, choć przecież żyliśmy stosunkowo normalnie i nie zawsze ich gorycz nawet rozumieliśmy.

Dziś władza mówi wielkim głosem przeciw „ekstremistom” z „Solidarności”, którzy szykowali narodowi „krwawą łaźnię”. Jest sporo przytomnych ludzi, którzy obciążają „Solidarność” odpowiedzialnością za to, co zaszło („stracili poczucie realiów”). Można długo dyskutować nad tym, jak było naprawdę (w takich wypadkach częściej niż w innych prawda jest pośrodku, bowiem obozy w konflikcie działają na zasadzie naczyń połączonych). Niezależnie jednak od tego, jak było, naród odczuł uderzenie w „Solidarność” jako uderzenie w siebie (głos znajomej: „stan wojenny przeciw własnemu narodowi?!”). Dla naszego pokolenia rok 1981 będzie tym, czym był 1948 dla pokolenia naszych rodziców, a złamanie nadziei zrodzonych po 1956 r. dla pokolenia pośredniego.

Rany się zablżnią. A przecież coś zostanie: dystans psychiczny, nieufność do systemu, który ma grzech pierworodny nabyty w 1945 r., wzmocniony w 1948, po 1956, po 1970 i obecnie, w 1981 r. Mógł się system z niego oczyścić – w 1956, w 1970 i w 1980 roku. Nie uczynił tego.

Grześ powtarza mi zdanie jakiegoś kolegi: „Nie lubię Polski; Stany Zjednoczone to jest kraj”. Patrzy na mnie pytająco.

15 grudnia 1981, wieczór, druga notatka

Przeczytawszy ostatnie pytanie Grzesia, mój Ojciec rozplakał się. Ale żeby to zrozumieć, trzeba znać jego z kolei spowiedź, jaką zawarł w tekście *Moja edukacja sentymentalna*.

16 grudnia 1981

Zawieszono działanie PAX-u. Niepiękna to zapłata za 30 lat działania na rzecz współpracy polsko-radzieckiej i programowego akceptowania realiów ustroju.

Jedyne, co mi się kojarzy, to najpierw zamach stanu, a potem wprowadzenie „Nowego Państwa” przez Vargasa w Brazylii w latach 1930 i 1937. Tamtejsza faszyzująca partia „Integralistów” sądziła wówczas, że jej godzina wybiła. A tymczasem Vargas, który przyjął ideologię tej partii, rozpedził ją. Bo w ogóle partyjniactwo jest szkodliwe, bo po co dzielić się władzą z kimś, kto nawet jest zgodny ideologicznie, ale przecież jakieś dezyderaty wysuwa (PAX, zwłaszcza w ostatnich latach, też miał przecież własne koncepcje – nawet jeśli poszukiwał rozwiązań, jak w końcu ogromna większość nas wszystkich, w ramach ustroju). Tymczasem państwo ma stać ponad wszystkim i samodzielne, czy choćby tylko autonomiczne ugrupowania, po prostu nie są potrzebne.

Nigdy, a zwłaszcza po 1968 r., nie lubiłem PAX-u. A przecież wraz z jego zawieszeniem znika jeszcze jeden element pluralizmu. Jak wiele dzieł polskich i światowych nie ujrzałoby światła dziennego, gdyby nie Instytut Wydawniczy PAX!

Moje „latynoamerykańskie doświadczenie” (teraz już na pewno szybko tam nie dojadę; najmniejsze to zresztą zmartwienie, bo i tak nie jechałem) sugerowało mi swego czasu dopisanie jednej możliwości rozwoju sytuacji do mojego *Sierpnia*: przejęcie władzy, w tej sytuacji bezhołwia, przez „silnego człowieka”. W jakiejś wersji tekstu to nawet napisałem – z uwagą, że jest to mało prawdopodobne. Potem wykreśliłem zupełnie – jako zbyt mało prawdopodobne (sic!).

18 grudnia 1981

Po trochu zaczynają spływać wiadomości. Jakiś opór jednak był, wszystko nie poszło tak gładko. Mówi się nawet o szeregu wielkich zakładów, z których robotników przyszło usuwać siłą. Odcięcie Polski od świata i brak telefonów trwają zastanawiająco długo. Szczątkowa centralna organizacja „Solidarności” jednak trochę zadziałała. Wszystko to nie ma oczywiście żadnego znaczenia realnego, ale ma duże symboliczne. Przerazające w tej klęsce, przynajmniej jak ją widziałem pierwszego i drugiego dnia, było to, że wszystko zdawało się być rozpadać jak domek kart. Tak potężna organizacja, za którą stał cały naród, zdemontowana bez reszty w ciągu jednej nocy! Obawiałem się, że bezmiar i szybkość klęski w 1981 r. doprowadzi ludzi do przekonania, iż trzeba nieludzkiej siły, by „ruszyć z posad bryłę świata” – choć 1980 r. pokazał ludziom, jak trony rzeczywiście mogą zadrzeć.

Dziś telewizja zaczęła puszczać parę o masakrach w Gdańsku i w kopalni „Wujek”. No więc jest już, jakże się prosi powiedzieć „niestety”, punkt odniesienia na przyszłość. Za ileś (ile?) lat pojawi się znów postulat postawienia pomnika. Wokół pamięci tego nieszczęścia, a nie wspomnień klęski, zaczniesz się koncentrować wola zbiorowa – i tak w kółko, cykl od nowa.

Reiff jest podobno w areszcie domowym, co rzuca światło na zawieszenie PAX-u. Jakoby jako jedyny odmówił podpisania dekretu Rady Państwa o stanie wyjątkowym (pewno *ex post*, bo ani przez chwilę nie wierzę, by to ciało się zebrało).

Radio zachodnie – bardzo słabo, co zdumiewające, zagłuszane, ale też niewiele wiedzące – podało, jakoby Hieronim był aresztowany. Życzę mu, by się jak najszybciej z tego wykaraskał, ale myślę, iż w ten sposób oszczędzono mu zeszmacenia się. Po tym, co zaszło, jakże trudno byłoby mu patrzeć ludziom w oczy, gdyby został członkiem Biura Politycznego – jemu, który zmierzał do usensownienia tego systemu we współpracy z ludźmi.

Ciekawe są teraz postawy ludzkie. Telewizja nadaje głosy pozostałych na wolności przywódców „Solidarności”, którzy praktycznie odżegnują się od dotychczasowej działalności (jeżeli to ich głosy, bo żadnego na ekranie dotychczas nie pokazano). Przewodniczący strajku w WSI Radom, za którym podjęły niekończący się strajk wszystkie uczelnie, niemal stwierdza, że studenci nie mieli racji. A jednocześnie strajk w Bibliotece Narodowej w poniedziałek 14 grudnia, tj. już po wprowadzeniu stanu wojennego, wywołał szef tamtejszej Komisji Zakładowej „Solidarności”, który zawsze zdawał mi się być najspokojniejszym i najgrzeczniejszym z ludzi. Po przewiezieniu do Komendy jakiś milicjant, pokazując na jego

znaczek „Solidarności”, warknął: „Zdejm te blache!”. „Zdejm se sam!” – odpowiedział dr Czarnik. Siedzi.

Zdarzają się wypadki oporu tragicomicznego. Jakiś facet (po pijanemu?) wypłazował napotkanego akurat ormowca szablą. To się nazywa zinterioryzowanie ducha narodu!

Te wszystkie odruchy i reakcje już się jednak kończą. Wczoraj, w rocznicę Grudnia, dniu ogłoszonym swego czasu przez „Solidarność” dniem protestu, chyba nic nie było. Napisy „Solidarności” na murach są sprawnie i systematycznie zamalowywane. Ulotki i plakaty znikają. Biedni są ci demokratycznie niedawno wybrani kierownicy jednostek – np. rektorzy i dziekani na uczelniach – którzy pod kontrolą wojskowych nadzorców muszą to wszystko wykonywać. Tablicy „Solidarności” w Instytucie już nie ma.

Pojawiają się formy oporu drugiej fazy. Ze zbiorów instytutów humanistycznych znikają niektóre materiały; kiedyś się odnajdą (?). Sekretarka podbiega na korytarzu i cicho mówi: „Proszę nie zapomnieć podpisać listy, bo codziennie sprawdzają”. Bardzo ostre oświadczenie episkopatu, przekreślające nadzieje Jaruzelskiego (chyba je miał) na współpracę z Kościołem. Propagowane w kościołach wezwanie do wygaszenia wczoraj świateł w domach pomiędzy ósmą a dziewiątą wieczór i ustawienia w oknach świec. Na dużym osiedlu, w wielkich domach, to robiło wrażenie. Ponieważ przedtem telewizja podała o zabitych w Katowicach i w Gdańsku (to ostatnie niejasno), więc wszystko wyglądało naprawdę wzruszająco – w mroźnej, śnieżnej zimie.

Pojawiają się pierwsze dowcipy. Hasło dnia: „Wrona orla nie pokona” (WRO-NA – Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego).

Najważniejszą, długofalową formą oporu będą jednak wszystkie zjawiska wynikające z nieuznawania tego państwa za swoje własne. W końcu hasło żółwia ma w Polsce długie tradycje. Zrodziło się w okresie okupacji, ale nie ulega chyba wątpliwości, że funkcjonowało, choć może nieuświadomione i rzadko artykułowane, przez 35 lat Polski Ludowej. To nie musi być świadomy sabotaż; ten, jeśli będzie, zostanie zlikwidowany najszybciej. To będzie traktowanie państwa jako obcego – co trwa tu od 1945 r., z siłą zależną od tradycji rodzinnej, w wielu domach zresztą mocniej niż w moim. W takich warunkach reformy Sierpnia, których kontynuowanie – z gospodarczą na czele – zapowiada Jaruzelski, nie mogą się udać, gdyż one zakładają partycypację ludzi.

W Sierpniu zaistniała możliwość, by to państwo przestało być dla ludzi państwem obcym. Została przegrana. Ciekawe, że dokładnie tak samo widział 1968 r. w Czechosłowacji Zděnek Mlynář, który *ex post* pisał: „Ludziom chodziło przede wszystkim nie o reformy polityczne i mechanizmy demokracji, lecz o samą istotę stosunków między nimi a władzą, i początkowo mieli tylko nieśmiałą nadzieję, ale podczas »praskiej wiosny« uwierzyli wreszcie, że władza i rząd chyba naprawdę mogłyby być ich władzą i rządem, i że mogłoby mieć znaczenie, czego właściwie oni pragną, co myślą, co mówią i jak pracują”.

Teraz znów „duch polski schowa się w Kościele” – jak podobno mawiał pod koniec życia Chałasiński. Daj Boże (w tym wypadku szczególnie trzeba by dodać „sic!”), by ten duch nie przerodził się w ksenofobię, jak u tegoż Chałasińskiego. Wczoraj na Starym Mieście na białym placku zamalowanego napisu „Solidarności”, stało czarnym węglem: „Żydy wont!”.

Dziś rano dzieci, nie wiedzieć dlaczego (przypadek?), zaczęły deklamować:
 „Kto ty jesteś? Polak mały.
 Jaki znak twój? Orzeł biały”

Dla nich to będzie orzeł z koroną.

Stopniowo strach zakrada się do mieszkań. Przyciszanie głosu, oglądanie się, wzajemne przestrzeganie się między sąsiadami, by uważać. Kiedy sąsiedzi po prostu przestaną mówić?

Tego strachu nie było w Polsce od 1955 r. Może po 1968 czy 1976 – ale też na krótko i w ograniczonych środowiskach. Nie było go ani za Gomułki, ani za Gierka, na których opozycja takie psy wieszała. Przyjdzie nam jeszcze ich docenić.

Napisałem niedawno, że mimo wszystko nie wygląda, by tu się miało powtórzyć Chile. Ale w gruncie rzeczy nic nie wiadomo. Przecież my nic nie wiemy o losie internowanych. Słysząc, że do rozpędzenia grup robotników u Świerczewskiego użyto grup najgorszych kryminalistów; robotnicy nazwali je „czerwonymi brygadami” (Marta by pewno padła!). Establishment musi dyszczyć żądzą zemsty za te półtora roku strachu, ponizenia i grania mu na nosie. Jaruzelski rzeczywiście może się jeszcze okazać centrowy.

Przygotowaniu gruntu pod represje może służyć publikowanie dokumentów znalezionych w Mazowszu, a przewidujących zorganizowaną akcję „siłową”, oraz pokazywanie w telewizji prymitywnej broni (drewniane pałki czy podobne), też tam naprawdę czy rzekomo znalezionej. Przechodzi się tylko do porządku dziennego nad faktem, iż według preambuły dokumentów – założmy, że prawdziwych – zawarte w nich instrukcje miały wejść w życie w razie ataku na Związek, a nie dla ataku przeciw władzy.

Dokumenty są dziecinne – ale pozostaje wielkie pytanie, co w obecnej sytuacji należy przypisać błędom „Solidarności”. Mnie interesuje w tym najbardziej jedno: współzależność pomiędzy presją mas i oczekiwaniami przywódców (i odwrotnie). Rulewski prowadził politykę nieprzytomną; czy mógł prowadzić inną? Uchwalenie „posłania” do klasy robotniczej Europy Wschodniej było błędem taktycznym. Ale cała sala „Oliwii” nie miała podobno wątpliwości, że należy je uchwalić...

Porównanie z zamachem w Chile nie jest oczywiście powszechne, choć „Trybuna” czy „Żołnierz” uznały już za wskazane „dać odpór” takiemu nędzemu pomówieniu. Na Uniwersytecie było hasło „precz z Juntą”. W ramach tragicznohumoru: znajomy Chilijczyk przygotowuje w Warszawie pracę doktorską o doktrynie *seguridad nacional* Pinocheta. W dniu, kiedy milicja wygarnęła Pałac Staszica, miał mieć referat o korzyściach płynących dla junty z utrzymania stanu wyjątkowego. Uniwersytet to jednak nie cały naród. Narodowi sytuacja kojarzy się po prostu z okupacją. Stara kobieta na przystanku mówi przy mnie: „Wolałam już okupację, przynajmniej nikt nie kazał mi się wtedy cieszyć!”. Często pojawia się z obrzydzeniem wymawiane słowo „Azja” lub „Tatarzy”.

Ludzie uważnie patrzą na zachowanie żołnierzy. Ci, których się widzi w Warszawie, są na ogół młodzi i nieagresywni. Pewno po prostu z poboru. Znajoma przechodziła koło jednego w ten sposób, że, pewno niechcący, prawie potrafił ją bagnetem. Znajoma: „no co, brzuch mi chce pan rozpruć?” Żołnierz: „Proszę pani, ja nic nie chcę, chcę do domu”. Jakieś zgrupowanie wojskowe jest w Lasku Bielańskim (żeby nam go tylko nie zniszczyli!). Gosia z dziećmi podeszła do jakiegoś żołnierza. Skarzył się, że ma lód w butach, że mu zimno. Podobno zgrupowani

w Puszczy Kampinoskiej przychodzą do okolicznych wsi z prośbami o jedzenie. Wszystko wskazuje na to, że przeciw ludziom posyła się ZOMO (na nich ludzie wołają podczas akcji „gestapo”), może też jakieś wojskowe jednostki specjalne, podczas gdy masa wojska ma być po prostu widoczna. Cóż to jednak zmienia?

Zdarzają się sytuacje surrealistyczne. Wczoraj wracam autobusem do domu. Ulica obstawiona, żołnierz z czerwoną latarką ostro każe kierowcy zjechać na bok. Przewiduję „przechesanie” autobusu, co w praktyce niczym nie grozi, ale jest oczywiście nieprzyjemne – zwłaszcza gdy się jedzie z dzieckiem. Żołnierz wsadza do autobusu dwie zmarznięte dziewczynki, które nie zdążyły do przystanku, i macha ręką, żeby jechać.

Rozkazem Ministra Obrony Narodowej (dla odmiany gen. Jaruzelskiego) kompania honorowa Wojska Polskiego przywdziewa rogatywki. Na KC PZPR, gdzie zawsze powiewa czerwona flaga, teraz wiszą dwie: czerwona i biało-czerwona. Odgrzebany z czasowego zapomnienia Przymanowski deklaruje w telewizji, że Polska miała kilku prawdziwych bohaterów narodowych: Kościuszkę, Traugutta... i generała armii Wojciecha Jaruzelskiego.

Znajomy prorektor dostał polecenie od „swojego” pułkownika: „Oczyścić mi tu bibliotekę z tego wszystkiego”. Mowa o Miłoszach i innych.

Na klasztorze Zmartwychwstanek na Krasińskiego ogromnych rozmiarów flaga narodowa.

Dolar pod PKO na Czackiego osiągnął 1000 zł.

18 grudnia 1981, druga notatka

Zastanawiam się, po co ja to wszystko właściwie spisuję – chociaż mam niby pilniejsze sprawy (niby – bo jeśli wylecę z pracy i rozwiążę ze mną umowy wydawnicze, to już nic pilnego nie będzie). Przecież ten tekst, jeśli się przechowa, ma szansę być opublikowany za 100 (200?) lat. Ktoś go znajdzie w jakimś archiwum, namęczy się nad robieniem przypisów (jaka szkoda, że nie będę mógł mu już pomóc), wyda i będzie miał dorobek. Ale przecież nie dla tego nieznanego wydawcy piszę.

Herodot pisał swe dzieło, żeby „dzieje ludzkie z biegiem czasu nie zatarły się w pamięci”. To nie jest mój cel. Nie źródłem do studiowania naszych czasów będzie brakować przyszłym historykom. Tukidydes pisał *Wojnę peloponeską*, aby czytali ją ci, którzy będą chcieli poznać dokładnie przeszłość i wyrobić sobie osąd o takich samych lub podobnych wydarzeniach, jakie zgodnie ze zwykłą kolejną spraw ludzkich mogą zająć w przyszłości. Nie cenię siebie jednak aż tak, by sądzić, że te z pobieżnej obserwacji spisywane kartki przydadzą się przyszłym pokoleniom. Historia uległa zresztą takiemu przyspieszeniu, że przyszłe wydarzenia nie będą pewno „takie same lub podobne” – nawet jeśli cykliczna historia PRL za tym dotychczas przemawiałaby. Nie, prawda jest inna. Piszę to „dzieło”, gdyż pisanie jest surogatem działania. Czy nie dlatego spisywali swe kroniki Ludwik Landau i Emanuel Ringelblum? Bardzo niedawno, gdy oddawałem skróconą wersję mego *Sierpnia* do „Wiadomości Historycznych” (na pewno się nie ukáže, szkoda), dałem tam wstęp, iż powinnością historyka jest w moim przekonaniu również refleksja nad rzeczywistością przeżywaną. Powołałem przykłady Landaua i Ringelbluma jako tych, którzy właśnie poszli, z pozytywnym

zresztą skutkiem, za głosem powinności. Po paru tygodniach inaczej odczytuję ich motywację.

18 grudnia 1981, trzecia notatka, wieczorem

Wprawdzie tylko plotki, ale coraz gorsze. Podobno w obozie dla internowanych zmarł prof. Goldfinger-Kunicki, biolog. Mówi się, że jak z domu wyciągają, to nie pozwalają nawet zabrać ciepłego swetra. Krążą wieści o jakimś oddanym do domu dziecka niemowlęciu aresztowanych rodziców. Coraz gorsze rzeczy opowiada się o metodach opróżniania zakładów przemysłowych ze strajkujących. Są podejrzenia, że pacyfikujące oddziały są pod wpływem narkotyków. Opór musiał być jednak większy, niż przypuszczałem. Mówi się o internowaniu Prymasa (czy to tak wyglądało – jeśli nie mylę daty – w 1954 roku?).

Realia są też dostatecznie ponure. Artykuły wczorajszej i dzisiejszej „Trybuny Ludu” przeciw Kuroniowi, Geremkowi i in. zupełnie marcowe. Mogę się nie martwić o spontaniczną ksenofobię, oficjalnej – jeśli ją jeszcze można nazywać tylko ksenofobią – wystarczy. Zarówno w artykule o Kuroniu, jak o Geremku są nawiązania do syjonizmu i Izraela.

Widać, że się nie robi żadnego rozróżnienia pomiędzy odcieniem działaczy „Solidarności”. Przecież Geremek był z tych łagodzących, szukających porozumienia, w głębi duszy pewno wierzył, że to wszystko da się pogodzić z socjalizmem, że *ex definitione* powinno się dać pogodzić.

W telewizji władczy pułkownik wydaje polecenia traktowanemu jak chłopaczek kierownikowi gminnego GS-u; w trosce, rzecz jasna, o zaopatrzenie ludności. Scena upokarzająca.

W Wolnej Europie godzinami skrzynka listów – informacje od rodzin pozostających na Zachodzie do rodzin w kraju.

Na ulicy zwraca uwagę ilość ludzi z żałobnymi opaskami. Wczoraj jednak coś musiało być z racji rocznicy Grudnia; jakieś grupy manifestantów schroniły się w kościele Św. Krzyża, milicja ich stamtąd wykurzyła gazami, uciekając, krzyčeli „Niech żyje Polska!”

Bardzo chcę być długo z dziećmi, choć i tak w małym stopniu mi się to udaje. To jedna z niewielu rzeczy, o które jeszcze warto dbać. Jak się ułoży ich życie? Z 1980 r. nic pewno nie zostanie poza dwiema rzeczami: ziarna, które będą kłkować, i to, że następne pokolenie – naszych dzieci – będzie normalne, jak normalne było nasze pokolenie dzięki Październikowi, który przeżyli nasi rodzice. Normalne – to znaczy nie wierzące w kłamstwo, nawet jeśli życie je nieraz zmusi do kłamania. Ale to wszystko prowadzi prostą drogą do kontestacji, a więc do losu, którego chciałbym zaoszczędzić naszym dziś małym, a jutro dużym dzieciom.

19 grudnia 1981

Prezydent Reagan się bardzo przejął tym, co zaszło w Polsce. My, oczywiście, bardzo się cieszymy, że on się przejął. Ale co właściwie zrobiły Stany Zjednoczone w Brazylii w 1964 i w Chile w 1973 r. i w paru innych datach w jeszcze paru krajach? Teraz, po tym co zaszło w Polsce, najpewniej szybciotko zostaną uporządkowane sprawy w Salwadorze. Obozy pilnują swoich stref wpływów.

Wychodzi, że stary, mały Negus (Nygus – mówiono w Warszawie) miał rację, gdy przyjechał do nas za Gomulki (?) z hasłem „Małe narody łączcie się przeciwko wielkim!”. Można by zaproponować jeszcze kilka innych haseł – ale komunizm, kapitalizm i te wszystkie podziały nie są już dziś osiłą walki.

I za każdym razem z obu stron stosowana jest ta sama technika: działają siły krajowe, ale oczywiście za wiedzą, zgodą, dyskretnym poparciem – a pewno i z dyskretną pomocą – potężnych sojuszników. Armie tych potęg stoją najpewniej w pogotowiu na wypadek, gdyby siły krajowe nie dały rady (ale, jak dotychczas, zawsze dają sobie radę).

W Brazylii, Chile i Polsce pokazało się, jak mało może lud wobec ataku. To jest najsmutniejszy wniosek z tych lekcji. Co może lud? Przygotować parę gwoździ do rozrzużenia na szosach. Dziś w telewizji pokazuje się takie prymitywne bronie jako dowód zbrodniczych (powstańczych?) zamiarów „Solidarności”. To bzdura. Ale takie gwoździe, łańcuchy czy pałki rzeczywiście robiono w różnych zakładach, z inicjatywy oddolnej, do użycia w razie potrzeby samoobrony. Nawet tego prymitywizmu jednak nie użyto. Bo establishment góruje nade wszystko siłą logistyczną, informacją, zapleczem. Mówi się teraz, że gdyby wszystkie strajki po 13 grudnia, których w końcu nie było tak mało, wybuchły jednocześnie, system nie dałby rady. Ale właśnie wyższość sił systemu polegała na tym, że działały w sposób skoordynowany, podczas gdy „Solidarność” już nie mogła. Potężny sojusznik mógł być spokojny w swej gotowości na pewno utrzymywanej – ale utrzymywanej jedynie na wszelki wypadek. Zresztą zobaczymy, bo jeśli Jaruzelski będzie napotykał opór, to jeszcze mogą wejść.

Jest w tym wszystkim jedna pociecha. Andrzej Kijowski w *Listopadowym wieczorze* zauważa, że choć żaden z młodzieżowo-romantycznych spisków, których było tyle w dziewiętnastowiecznej Europie, nie objął władzy, to przecież do stołu w Wersalu zasiadła „Europa romantyczna”, chcąc realizować ideały spiskowców. Tak, tylko ci spiskowcy już nie żyli.

Rewolucja kubańska 1959 r. zwyciężyła w jedno pokolenie po tym, które przegrało jej poprzedniczkę, rewolucję 1933 r. Ale bohaterowie z 1933, ci którzy przeżyli i dożyli, już niewiele z tego mieli.

Co wszystko napisawszy, przypomniałem sobie, że jakieś ruchy społeczne w historii świata jednak czasem zwyciężały, a w Iranie lud pokonał armię silną i dobrą logistycznie. Też jednak, zdaje się, niewiele dobrego z tego wyszło.

19 grudnia 1981, wieczór

Dlaczego ten system okazał się jednak tak silny, mimo że jego beznadziejna słabość rzucała się wszystkim w oczy? W moim *Sierpniu* wywiodłem tezę, że sukcesy 1980 r. płynęły nie tylko z siły ruchu, ale również ze słabości establishmentu. Antek pokręcił z powątpiewaniem głową nad tą słabością.

Na pewno jakąś rolę w tej dwoistości odgrywa wielosektorowość systemu; establishment był słaby, ale wojsko silne. Jest to zdumiewające, ale w państwach, w których wszystkie śrubki wypadają i krany ciekną, czołgi jednak jeżdżą (a przy najmniej jeździ dostateczna część produkowanych).

Prawda jest chyba po obu stronach: system był słaby – najlepszy dowód, że musiał uciec się do pomocy wojska, oddać na jego łaskę. System był silny, gdyż

mógł się odwołać – nawet jeśli za cenę bankructwa politycznego – do pomocy wojska i milicji. Na dziś liczy się tylko saldo końcowe; co do jutra – zobaczymy.

Teraz siła systemu będzie bardzo szybko wzrastać. Jego słabość płynęła m.in. z rozkładu centrali w modelu „centralizmu demokratycznego”. W tej koncepcji, akcentującej słowo „centralizm”, zakłócenia w działaniu głowy mają fatalne konsekwencje dla ciała. Teraz głowa już jest i masy aktywistów przypomną sobie swą powinność. Będą ją realizować tym aktywniej, im bardziej będą chcieli zatuszować wahanie czy brak aktywności w ciągu półtora roku. Wierni synowie systemu, ci, którzy weń nie zwątpili, będą z kolei chcieli odbić swoją półtoraroczną frustrację czy pomścić strach. Władza w prasie deklaruje, że obca jej jest chęć odwetu. Ale w opowiadaniach o przesłuchaniach czy o kontaktach z ludźmi mającymi „powiązania” słyzy się wypowiedzany przez drugą stronę motyw: „Wyście nam chcieli ukręcić łeb, ale teraz to my wam ukręcimy”. Mówi się, że w swoich miejscach pracy będziemy podpisywać jakieś deklaracje lojalności. W końcu je wszyscy lub prawie wszyscy podpiszemy. Życ trzeba. W końcu dotychczasowa rota przysięgi wojskowej czy tekst ślubowania studenckiego też zawierały sformułowania, przed którymi głos wielu powinien zadrzeć – zwłaszcza gdy się wspomni późniejsze przyłączenie się ich do Sierpnia – ale nie zadrzał, gdyż nikt nie przywiązywał do tego wagi; trzeba było „oddać cesarzowi co cesarskie...”.

Wszyscy czy prawie wszyscy z czasem podpiszemy – ale postawy ludzi w tym pierwszym okresie bardzo ich charakteryzują. Przecież to idzie o to, kto pierwszy pobiegnie, a kto pójdzie z ociąganiem. Historia zapamiętuje tylko tych pierwszych. M.F. Rakowski kontynuuje jako wicepremier. Dziś został szefem Komitetu Społeczno-Politycznego Rady Ministrów. Przykre to w wypadku autora dobrej książki, w której dowodzi potrzeby współpracy partii z narodem. Musiał wierzyć w to, co pisał, skoro pisał za Gierka, do szuflady, bez szans wydania, a raczej narażając swą karierę. W tych dniach karierę w pewnym sensie zakończył – tę dziennikarską. Własnoręcznie zlikwidował „Politykę”, której redaktorem był prawie od początku (po Stefanie Żółkiewskim).

Są wypadki odwrotne, choć mniej się je widzi, a na pewno mniej się o nich wie. Sędzina znana z surowych wyroków zwalnia oskarżonych na podstawie dekretu o stanie wojennym – o niewielkie co prawda wykroczenia. Prezes sądu, który na odprawie przypomina sędziom, że nawet w okresie stanu wojennego podsądny „są Polacy”.

Hieronim Kubiak podobno nie jest internowany. Bardzo mnie interesuje, jakie zajmuje stanowisko. Mam nadzieję, że przytomne, bo do niego się pewno będę zwracał o pomoc, jeśli mnie wywalą z pracy. Nigdy mojego Instytutu specjalnie nie lubiłem, a teraz może okazać się rajem utraconym. Napiszę, że myślałem, co myślałem, ale nie działałem – co i prawda. Gdzie bym w przyszłości nie pracował, mała jednak szansa, bym mógł się zająć analizą zjawiska „1980”. Już się o nim zaczyna mówić w kółko jako o kontrrewolucji – jak o 1956 r. na Węgrzech. Ma się to tak do mojego *Sierpnia* – przy całym moim dystansie wobec szeregu aspektów ruchu 1980 r. – jak pięść do nosa.

Prof. Goldfinger-Kunicki jest podobno zdrowy i ma być zwolniony z obozu. Te wszystkie plotki, które odnotowuję, by je potem prostować, nie mają żadnej wartości informacyjnej – poza informacją o tym, że karmimy się w ogromnym

stopniu plotkami. Dziś jest plotka, że Jaruzelski miał zawał czy wylew. Kto chce, niech sprawdzi.

Stan wojenny zaczyna być lekko łagodzony. W części województw skraca się godzinę policyjną (ciekawe, że w Gdańsku jest natomiast przedłużona). Przywraca się sprzedaż kartkowego alkoholu.

Na ulicach Warszawy pojawiły się nowe węgierskie autobusy. Jedzie mięso z ZSRR.

Znajoma, której udało się wrócić jakimś okazynym samolotem z Paryża, przywozła pozdrowienia i smakołyki od przyjaciół. Kościół organizuje przekazywanie ciepłych rzeczy dla internowanych i pomoc dla ich rodzin.

Zbliża się Wigilia. Trzeba zdobyć drzewko. Zacząłem dziś znów coś robić zawodowo. Udajemy, że życie płynie.

Duży śnieg i zmęczenie.

22 grudnia 1981

Napisał Passent w ostatniej „Polityce”, która się ukazała przed 13 grudnia, że nie ma już sensu rozważać racji stron w każdym z rozwijających się w Polsce konfliktów – bowiem „w gruncie rzeczy chodzi dziś o jedno i tylko o jedno: czy można odebrać komunistom władzę, nawet tę okrojoną, w środku Układu Warszawskiego, nie ryzykując najpierw rozlewu krwi bratniej, a później być może nie tylko krwi polskiej” (12 grudnia, podkreślenie w oryginale).

Według stojącej za tym zdaniem koncepcji polska rewolucja 1980 r. doszła do punktu kulminacyjnego. Obie strony stanęły naprzeciw siebie bez masek (jedna z przeciwwgazowymi). Jedni powiedzieli, a jeśli nie powiedzieli, to pomyśleli: „Mamy was dość”. Drudzy zaś: „Nie cofniemy się, bo już nie mamy gdzie”.

Przyszli historycy będą dyskutować dwie kwestie: czy rzeczywiście do takiej kulminacji w przeddzień 13 grudnia doszło, a władzę „Solidarność” przyparła do muru – oraz czy musiało do niej dojść, jeśli doszło. Ponieważ będą to historycy dobrze przygotowani zawodowo i zmierzający do ustalenia tej ohydnej pozytywistycznej prawdy obiektywnej w miejsce wersji jedynie słusznej, wpadną w pułapkę, którą sami sobie zastawią. Prawda obiektywna jest bowiem bardzo trudna do ustalenia w sytuacji, w której posunięcia partnerów warunkują się wzajemnie i, jak w dziecięcej bójce, nie sposób ustalić, kto komu dał pierwszego kuksańca.

Są dane świadczące, że rewolucyjna fala, której nośnikiem była „Solidarność”, wezbrała do poziomu grożącego przelaniem. Wyrazem tego było poparcie strajku w Wyższej Szkole Oficerów Pożarnictwa (nb. trudno sobie wyobrazić, jak Związek mógł go nie poprzeć). W ten sposób zaatakowane zostało serce systemu – sztańce MSW. Drugim wyrazem była zapowiedź referendum „Solidarności” nad polityką rządu, a więc swego rodzaju głosowanie narodu nad votum zaufania dla władz, o którym wiadomo było, że nie może wyjść dla nich dobrze (podobnie jak oczekiwane w lutym wybory do Rad Narodowych).

Jednocześnie jest oczywiste, że władza wzmacniała atmosferę: „Solidarność atakuje!”. Temu służyło puszczanie na całą Polskę taśm z podsłuchu w Radomiu. Pewno temu (rozgrzewaniu atmosfery, po prostu prowokowaniu) służyło trzymanie w radomskiej szkole inżynierskiej rektora Hebdy, wskutek czego nie mógł się skończyć strajk uczelni. Temu służył spektakularny desant na Szkołę Pożarni-

czą, wobec którego „Solidarność” nie mogła – i każdy to wiedział – pozostać obojętna. Były też sprawy bardziej długofalowe. Są ludzie, którzy twierdzą, że inercja władz, ich niezdolność do rozwiązywania nabrzmiałych problemów, były w ciągu minionego roku celowe – dla prowokowania. Są tacy, którzy mówią, że Związek został jak gdyby wciągnięty w pułapkę: rząd ledwo działał, a w tak trudnej sytuacji ludzie parli na znalezienie rozwiązań – więc „Solidarność” wchodziła w pustkę, by potem stanąć wobec oskarżenia, że jest na pięć minut przed przejęciem władzy. Osobiście wątpię w taki machiawelizm (nieudolność wystarczy dla wytłumaczenia) – ale takie skutki omawianych zjawisk rzeczywiście były, niezależnie od tego, czy ktoś je zaplanował, czy nie.

Jest też sprawa całej atmosfery wokół „Solidarności”. Część establishmentu tylko marzyła, by „Solidarność” się „podłożyła”, by dała pretekst. Jest duże prawdopodobieństwo, że gdyby nie było sprawy pożarników czy projektu referendum, znalazłyby się inne. Widzimy zresztą to nastawienie wobec „Solidarności” teraz, gdy władza zrzuciła maskę. „Solidarność” je czuła na każdym kroku – nie tylko przy okazji mordobicia w Bydgoszczy.

Rząd w jakimś stopniu na pewno przyspieszył spiętrzenie solidarnościowej fali, a na dodatek postarał się, by wrażenie grozy było jeszcze większe.

Czy jednak bez tych działań rządu mogła fala płynąć nurtem wezbrany, ale nie grożącym wylewem? W moim *Sierpniu* pisałem, że warunkiem utrzymania się ruchu w ramach ustroju jest pójście systemu na szerokie reformy, otwarcie wobec ludzi – tak, by mogli go uznawać za swój. Było to zdanie tyleż słuszne, co nierealistyczne. Istnieje duża szansa, że fala byłaby się wznosiła nawet przy władzy efektywniejszej i szczerzej współpracującej z „Solidarnością” – bo jest to prawo rewolucji. Spraw nabrzmiałych było dosyć, system, po prostu ten realny socjalizm – mniejsza o ideał – był odczuwany jako bolesny, a ruchy rewolucyjne, w odróżnieniu od pociągów, się nie zatrzymują. „Ekstremiści” z „Solidarności” to sprawa uboczna; nie byłoby ich, gdyby nie mieli poparcia.

Z drugiej strony okazało się, że system, nawet gdy chce ewoluować, a po Sierpniu chyba chciał, robi to w bardzo ograniczonym zakresie, żywiąc obawę przede wszystkim, by nie zanegować samego siebie, by się nie unicestwić. Sprawia wrażenie, że wyczerpał swe możliwości ewolucji, takie zaś systemy są obalane rewolucyjnie.

Nie dziwi, że system, który mieni się spadkobiercą ruchu rewolucyjnego, został podany w wątpliwość przez oddolny ruch rewolucyjny. Na ogół tak się dzieje; do tego sprowadza się dialektyczna, marksistowska wizja historii. W miarę stabilizowania się sytuacji porewolucyjnej narastają nowe sprzeczności, krystalizują się nowe grupy społeczne i ich obozy... i tak *ab ovo*, do końca świata. A że zaatakowany urząd mieni się socjalistycznym? Co za różnica...

Ciekawsze pytanie jest inne: w jakim stopniu, czy w jakich aspektach, ruch, który podał w wątpliwość realny socjalizm, był postępowy, a w jakich konserwatywny? Pojawił się w nim cały nurt „nawrotu” do rzeczywistości polskiej okresu międzywojennego, do wątpliwych tradycji. Były w nim niewątpliwie elementy „konserwatywnej rewolucji”. Ale nie można widzieć tylko tego. Był też analizowany ruch nośnikiem załączka socjalizmu o ludzkiej partycypacji – jedyne go zaślugującego na nazwę „socjalizm”. Przyszli historycy będą dyskutować, na ile ku konserwatyzmowi (prawicy?) pchał go fakt, iż wybuchł w otoczeniu nominalnie

i instytucjonalnie, choć w małym stopniu realnie, lewicowym; będą dyskutować, czy schronienie się w wartości tradycyjne (narodowe i religijne) nie było formą ciężenia ku „swojemu” – przeciw systemowi odczuwanemu jako obcy. My zadajemy sobie pytanie, czy w dzisiejszym świecie często jeszcze można jednoznacznie powiedzieć, co jest postępowe, a co wsteczne? Wystarczy spojrzeć na Iran.

Chwilowo nastaje znów „najbardziej postępowy ustrój w historii” – socjalizm bez współpracy ludzi, pod przewodnictwem ZSRR i miernot, które wstąpią do odrodzonej partii. To może trwać; to się nie może udać – zwłaszcza w kraju o takiej tradycji wolnościowej i przy takiej sile Kościoła. Na Litwie, Łotwie i w Estonii wprawdzie się udało, ale siła oporu na skutek odmiennej historii była tam chyba mniejsza, robiono to ogniem i mieczem, a zresztą też nie wiadomo jeszcze, czy udało się do końca. Różne rzeczy mogą się jeszcze zdarzyć – zarówno w tych krajach, jak w Polsce. Może się jeszcze zdarzyć socjalizm prawdziwy (jaki on jest?) w miejsce realnego.

Póki co my, zjadacze chleba, przechodzimy do codzienności. Podczas okupacji, akurat gdy rozeszła się wiadomość o klęsce Francji, do mieszkania Zagórskich (?) przyszedł staruszek, b. Prezydent Rzeczypospolitej, Wojciechowski. Ktoś rzekł pełnym patosu głosem: „Panie Prezydencie, Francja padła!”. Na co Wojciechowski: „Znalazłem bułeczkę i trochę mleczka, rozmieszamy bułeczkę z mleczkiem i wypijemy mleczko z bułeczką”.

Teraz tylko chciałbym, żebyśmy mieli „mleczko”, „bułeczkę” i forszę na nie.

W domu grzeją kiepsko. Radio mówi o zaczynających się w niektórych województwach brakach gazu kuchennego. Grześ radzi przy śniadaniu, by ostatni kawałek sera jeść wolno – żeby starczył „do lepszych czasów”. Autobusy jeżdżą fatalnie. Grześ na przystanku odzywa się: „Tatus, a w dzienniku mówili, że komunikacja chodzi dobrze!”.

Przepełniony autobus zatrzymuje się przed kościołem, gdzie nie ma przystanku i gdzie nigdy nie stawał. Ścieżkami w śniegu ciągnie reszta wiernych. Władza szuka zjednoczenia z narodem, wytykając nawet Antoniemu Macierewiczowi (praktykującemu katolik), że reprezentował jakoby kierunek „antykościelny” oraz „nie wahał się... podważać autorytetu Prymasa St[efana] Wyszyńskiego” („Trybuna” z 19 grudnia). W miarę stabilizowania się sytuacji władza przestanie się tak troszczyć o autorytet prymasa. Mamy przecież sytuację niemal brazylijską: dwie organizacje – wojsko i Kościół – wśród ponownie zatamizowanego społeczeństwa. Konsekwencje muszą być też podobne.

W telewizji mieszanina piosenek AK i I Armii.

W gazecie coraz więcej słów poprzedzonych jest, jak w czasach stalinowskich i gierkowskich, skrótem „tzw.”: tzw. procesy polityczne (w odniesieniu do lat 60. i 70.), tzw. KOR, tzw. Ośrodek Badań Społecznych. *Nota bene* ta ostatnia instytucja była legalną placówką „Solidarności”, z lokalem przydzielonym przez miasto i szyldem.

Na ogłoszeniu o stanie wojennym ktoś nabazgrał „Bekanntmachung Kutschera”. Upowszechnia się użycie słowa „junta”. Wszyscy ludzie aktywniejsi w „Solidarności”, a nie daj Boże funkcjni, boją się aresztowania. Chłopi biją bydło – w strachu przed rekwizycjami.

Grześ zobaczył w końcu czołgi – przejeżdżaliśmy koło nich, widać je w pewnej odległości z okna; po obiedzie mamy pójść obejrzeć je z bliska. Gdy je zoba-

czył, mówił potem w domu „gitowe były te czołgi!”. Na co Agnieszka: „A one były prawdziwe czy do zabawy?”.

Ludzie się częściej odwiedzają. Sprzyja temu brak telefonów i potrzeba przebywania z innymi.

W tym roku nie życzy się „Wesołych Świąt” ani „Szczęśliwego Nowego Roku”. Życzy się świąt „spokojnych”. Życzący i odwzajemniający życzenia wkładają w to więcej uczucia niż zazwyczaj.

Zdobyłem choinkę.